

Życie jest poezją

„Poetą się nie bywa, poetą się jest...” – przepisał kiedyś z przestworzy życiopisarz Edward Stachura. A jak jest z tą poezją wśród kultur niepiśmiennych, skoro nie tylko martwym słowem, ale życiem jest, z niego wyrasta, jemu służy, nim samym jest?

Poezja – zwerbalizowana relacja pomiędzy człowiekiem a realnością, ostateczne ujście wszystkich doznań zmysłowych, nazywanie obrazów, tłumaczenie sobie świata „na swoje”. Tworzenie symboli, osvajanie emocji i wrażeń. Nazywanie rzeczy po imieniu, a imion tyle, ilu ludzi, ile kultur, ile spojrzeń na świat.

Życie jest poezją? A zatem poezja nie może być domeną tylko słowa pisanego i też nie o takiej poezji będzie tu mowa. Nie o „życiopisaniu” nawet, lecz o sposobach postrzegania i nazywania fragmentów rzeczywistości (zwłaszcza świata przyrody), których owoce pozostają częścią tradycji ustnej, zasługując tym samym na miano poezji życia ludu.



Fot. Paweł Klimek

Całokształt ludzkości to prawdziwa mozaika kultur. To, co w nich najcenniejsze, to tradycja przekazywana ustnie kolejnym pokoleniom. Dzięki niej do dziś zachowały się w umysłach ludzi nie znających pisma skonstruowane przez przodków wyobrażenia na temat świata i jego kardynalnych, podstawowych elementów. Wyobrażenia nieraz radykalnie się od siebie różniące, niezrozumiałe dla przedstawicieli innych grup, a zwłaszcza przedstawicieli wyżej rozwiniętych cywilizacji, którzy w sposobach poznania rzeczywistości posiłkują się naukowymi „gotowcami” objaśniającymi im świat – przyrodę i prawa nią rządzące. To, co w innej kulturze jest oczywistością, dla nas stanowić może absurd, pocieszne wyobrażenie dzikusa w trzcinowej spódnicy.

A gdyby jednak bliżej przyrzeć się wiedzy, modelom świata, językom tych ludzi... Poeci życia? Potrafią dostrzec tak drobne impresje ziemskiej materii, które dla nas są niezauważalne, a jeśli już to tylko w przepływie twórczego natchnienia.

Eskimos potrafi rozróżnić 48 rodzajów śniegu. My – realnie, za pomocą wzroku, a nie wyobraźni,

tylko jeden. W monotonnej przestrzeni swego życia, gdyby nawet w śnieżnej zadymie i pod śniegiem zaginęły wszystkie charakterystyczne punkty, ułatwiające orientację w przestrzeni, Eskimos i tak, obserwując relację pomiędzy typem śniegu i spękań w lodzie, rodzajem powietrza (świeże czy słone) i kierunkiem wiatru, odnalazłby drogę.

Współczesny Europejczyk nie zauważa czasem sąsiada stojącego obok w windzie, a na nocną wyprawę do lasu nie odważy się wyjść bez latarki. Oczywiście uogólniam, słowo „Europejczyk” to jakiś bezosobowy twór, ale dla potrzeb zaznaczenia pewnych kulturowych niuansów pozwolę sobie na tę drobną nieściśłość.

Indianie Hopi uznają istnienie sześciu, a nie czterech kierunków świata (wschód, zachód, północ, południe, góra, dół). Wyobrażenie to wydaje się znacznie bardziej przystające do fizycznej rzeczywistości, jakby mniej „płaskie”. Nam, „piśmiennym” trudno byłoby jednak zaznaczyć to na mapie.

Mieszkańcy kamiennych pueblo zupełnie inaczej odczuwają też czas. My dzielimy go na przeszłość, terażniejszość, przyszłość – czas historyczny, bogaty w fakty, informacje, plany – czas tak zapchany, iż aby móc objąć ogrom zawartych w nim treści, koniecznym jest podzielenie go na części. Uff... To nieco ułatwia sprawę – jest przeszłość, terażniejszość, przyszłość, jakiś układ, punkt odniesienia... Hopi natomiast nie znają pojęcia czasu w naszym znaczeniu tego słowa. Nie mają pojęć ani odpowiedników przeszłości, przyszłości, terażniejszości. Czas jest płynny, życie płynie. Nie segmentuje się go, tylko doświadcza, bez zbędnej klasyfikacji na kategorie typu: było, jest, będzie.

Zresztą po co od razu do Ameryki wędrować w poszukiwaniu „zaginionego czasu”. Wystarczy cofnąć się kilkaset, kilkadziesiąt, a gdzieniedzie nawet i kilkanaście albo i mniej lat wstecz – do polskiej tradycyjnej kultury ludowej, do ludzi żyjących jeszcze z dala od światła kaganka oświaty. Wystarczy na chwilę przenieść się w tamten miniony już świat.

Słońce wschodziło i zachodziło, księżyc zmniejszał się, znikał, odradzał i rósł. Ziemia zamierała i na nowo budziła się do życia, drzewa zrzucały liście, stały łyse i znów puszczały pąki. Czas nie biegł po linii prostej, czas był kolisty, kosmiczny, wiecznie na nowo się odradzający... Wszystko było ze sobą połączone, wzajemnie na siebie wpływało, a nawet niosło ze sobą informację – odpowiedź na to najbardziej frapujące człowieka pytanie: co będzie dalej? Czy pogoda, czy urodzaj, szczęście, miłość, śmierć? Trzeba tylko było być uważnym obserwatorem. Nie ma nieuważnych poetów, a uważność już jest poezją.

Stąd też tyle dziwnych, poetyckich określeń i nazw fragmentów obserwowanej rzeczywistości. Księżyc to miesiącek, bo miesiąc minie nim wszystkie fazy przejdzie – urośnie, napęcznieje jak placek owsiany i znów zjedzony zostanie. Grecka konstelacja Oriona to Kosiarsz albo Kosa, bo kształtem tak jakoś przypomina o koszeniu. Plejady, co na jesiennym niebie rozsiądą się szeroko – to kwoki lub baby. Słońce nie wschodzi, ale „je śniadanie” i pokłonić mu się trzeba, czapki z głów zdjąć, pieśń wyśpiewać, bo jakby się żyło bez niego? Plamy widoczne gołym okiem na księżycu to nie jakieś tam morza piaskowe, ale sam Twardowski albo baba, co gnój grabiami rozrzuca – za karę oczywiście, bo nie w ten czas, co potrzeba przy oborze robić się jej zachciało... za życia. Wiatry to chłopcy, co powietrze mieszają, a wir wietrzny, kurzawa, zawieja na drodze – to sam diabeł w tańcu hula radośnie. I to z jego pięty właśnie, gdy przed wilkiem na olszynowe drzewo uciekał, krew się polała, że do dzisiaj już olsze czerwona kora została. A brzozy? To przecież dziewice w drzewa zakłete i uważać trzeba młodzieńcom samotnym, bo na śmierć „zatańcować” mogą.

Fantazja ludzi nie zna granic... Nazwy, historie, wierzenia ludowe nigdy nie były zapisywane. Ktoś nazwał rosnące w ogródku stokrotki „gęsimi pępkami”, ale nie wiedział, że to już poezja. Cebula była „skulibabą”, koniczyna – „kocimi nerkami”, purchawka – „byczym jajem” albo „bocianim serem”, i

nikogo to nie dziwiło. Po miedzach włączyły się południce, w moczarach topielce, utopce, rusałki i wilły, a w domu pod strzechą ubogich gospodarzy żyły dobre ubożęta. Słońce wschodziło i zachodziło. Życie, choć w pocie czoła i o głodzie nieraz, więcej miało z poezji niż późniejsze literackie sielanki.

Dagmara Stanosz